



Nr. 35.

Warszawa, dnia 23 Sierpnia (4 Września).

Rok 1875.

Dobra rodzina.

II.

Ojciec przebiegł szybko pokoiki swego mieszkania, i w każdym znalazł pustkę: to go bardziej jeszcze zaniepokoiło. Udał się więc do pokoju sypialnego ale kiedy już miał drzwi otwierać, usłyszał ciche przytłumione łkanie kilku głosów. Oddech zamarł mu w piersi, serce silniej uderzyło i wezwawszy dopiero pomocy Bożej, nabrał odwagi wejścia do środka.

Dzieci milezały, Matka tylko wskazała papier leżący na stole, mówiąc:

— List z Australji od Matki mojej..... przeczytaj!
 Był on od Matki pani Walont zamieszkałej przy synie i córce na tej odległej wyspie. Donosząc o swej chorobie błagała ją na wszystko, aby nie zwlekając przyplłynęła do niej z dziećmi jeżeli mąż nie będzie mógł towarzyszyć, i tym sposobem podała możność pożegnania się i z nią samą i z wnuczkami. Na kosztą podróży przysłana została odpowiednia kwota i dodatkowy zasiłek, nie więc wyjazdu nie tamowało, który tym bardziej był konieczny, że Matka pragnęła mieniem swoim rozporządzić



.....powiewalił do siebie chustkami.....

Jakiż bolesny widok!

Matka siedziała w wielkiem krześle z poręczami z twarzą zalaną łzami; obok stał Jaś trzymając jej rękę przy ustach, z drugiej strony Marynia octem z flaszeczki nacierała czoło, a młodsze dzieci znajdowały się przy jej nogach, Anielka z załamaniem rękami, rozpaczająca, a Sewerynek patrzący z czułością w twarz Matki.

— Co to jest?—zapytał Ojciec trwogą przejęty. Co się tu stało?

jeszcze za życia.

Trzeba więc było płynąć przez ocean, porzucić ciszę i szczęście domowe, rozstać się z ukochanym mężem a spieszyć w tak odległe strony, nie wiedząc nawet czy po przebyciu tylu trudów i niebezpieczeństw, Matkę tak przez siebie kochaną zastanie przy życiu.

Postanowiono po długiej naradzie za tydzień wyruszyć w drogę, ale miała się w nią tylko udać Matka z trojgiem dzieci a Jaś miał pozostać przy Ojcu,

aby go nie zostawić zupełnie samotnym.

Reszta dnia zeszła bardzo smutnie dla wszystkich; kiedy wieczorem po ukończeniu zwykłych domowych czynności, rodzina cała zebrała się w ogródku dla posiłku, wszyscy siedzieli w milczeniu a Rodzice z czułością spoglądali po dziećmi.

— Będę się smucił i tęsknił za wami, odezwał się Ojciec po chwili, ale konieczności trzeba się poddać. Babka wasza moje dzieci, kocha nas wszystkich całym swoim sercem; już lat cztery jak nie widziała nas, dziś gdy dnie jej życia są już może policzone, czyż podobna odmówi spełnieniu prośby którą nam przesłała? Człowiek nie może żyć tylko dla siebie, winien także poświęcać się i dla drugich, to obowiązek konieczny. Prawda że nam tu razem tak dobrze; że lepiej nawet bez grzechu żądać nie można.....

— Och! tak Ojczulku! zawołały dzieci jednozgodnie.

— Ale tam Babka daleko tęskni za nami, mówił dalej Ojciec, wyciąga do nas ręce, radaby wszystkich przytulić do swego serca, nagadać się, napatrzyć, nacieszyć i pożegnać może na wieki.... czyż więc możemy jej tego szczęścia jakiego pragnie odmówić?

— O! nie Ojczulku, odrzekły dzieci, nie możemy!

— Tak moje dzieci, nie możemy, trzeba więc zrobić poświęcenie, ale żeby ono miało swoją zasługę, trzeba je spełnić ze spokojem, bez żalu i smutku a pocieszać się myślą radości jakiej doznamy, gdy się znowu z sobą zobaczymy. Rozweselmy więc serca nasze i twarze, spojrzjmy w niebo z ufnością i polećmy się opiece Pana, co Niewidzialny i Niepojęty, czuwa zarówno nad najmniejszym tworem na ziemi.

Słowa te ożywiły niezmiernie dzieci i pomału rozpoczęła się gawęda o zamierzonej podróży.

Przeprawa przez tak wielkie przestrzenie morskie, nie straszyla je, bo mieszkając przy morzu i robiąc częste wycieczki do wysp pobliskich były z niem najzupełniej oswojone, jak wy z Wisłą, Niemnem lub Dnieprem, ale obudzało trwogę rozłączenie z Ojcem i bratem.

— Według mego zdania, odezwała się Marynia; najlepiej byłoby, żebyśmy wszyscy przenieśli się do Australji. Ojciec i tam znalazłby zajęcie.

— Myślałem o tem, ale w ciągu tygodnia interesów nie mógłbym tak zostawić aby być gotowym do podróży, tu zaś pośpiech jest niezbędnym. Jedźcie więc z Matką a ja pośpieszę za wami gdy mi doniesiecie, że mógłbym w Australji znaleźć zarobek.

— Ach! to wybornie! wybornie! zawołały dzieci klaszcząc w ręce radośnie i pobiegły do Matki z nową tą dla niej wiadomością.

Tydzień minął bardzo prędko; gdy nadszedł dzień wyjazdu i zobaczono okręt stojący na morzu gotowy zupełnie do podróży, którym miano popłynąć, dzieci rzuciły się w objęcia Rodziców, prosząc Ojca aby się nie smucił i był spokojny. Ojciec tuląc je do piersi, całował i błogosławił, a Matka modliła się. Wreszcie ufność wstąpiła w serca wszystkich, Ojciec odprowadził łodzią odjeżdżających, ucałowano się raz jeszcze, troszkę popłakano a gdy wydobyto kotwicę i okręt poruszył się i skierował ku zachodowi, dzieci z Matką, a Ojciec z Jasiem powiewali do siebie chustkami dopóki tylko wzajemnie dojrzeć się mogli.

III.

DOMKI Z KART.

Mania spełniwszy zadanie,
I rachunki i czytanie,
Siadła z uśmiechem wesołym,
Rada z siebie po za stołem,
I tam obyczajem dzieci,
Z kart rozliczne domki kleci.
Ojciec powie patrząc na to:
„Baw się Maniu!” — „Czemuż Tato,
Chwalisz tę zabawę Mani,
Go pożytku nie da dla niej?”
Spyta Franuś — „Mania mała
Wszystkie lekcye swe wydała,
Więc się bawić jej pozwalam;
Tę rozrywkę zaś pochwalam,
Bo jest cichą — Ona w domu
Nie naprzykrzy się nikomu,
Zaś pożytek, nikt nie przeczy,
Znaleść można w każdej rzeczy.
Mani która jest malutką,
Da niewinną chociaż krótką
Po prac znoju zabaweczkę,
Wam zaś starszym, gdy troszeczkę
Pomyślicie da przestrożę.”
„Jaką Tato?” — „Gdy na drogę
Czynu wejdiesz, wszelkie znoje
Powinny mieć skutki swoje;
Kto podejmie rzecz bez celu,
Jak to czyni ludzi wielu,
Postępuje jak dziateczki,
Stawiające z kart domeczki;
Męczy się próżnym kłopotem,
Trud mu czoło zlewa potem,
Lecz niech tylko wiatr zawieje,
Albo stolik się zachwieje,
Wszystko runie. Tak więc ludzie
Winni celu szukó w trudzie.

Ludwik Niemojowski.

Przechadzki z Nauczycielem.

VIII.

W wycieczkach za miasto, kopiec z którego piękny rozpościerał się widok, stał się tak wielkim ulubieńcem dzieci, że lubiły nawet z miasta wypatrywać go w stronie w której się znajdował. Raz chłopcy widocznie w wielkiej tajemnicy coś między sobą układali.

Szeptali bowiem, naradzali się, biegali do Rodziców i starszych a raz jak tylko po południu skończyli w szkółce naukę, gdzieś zadziali się, że nie o nich nie wiadziiano. Nie zginęli jednak i równo ze zmierzchem znaleźli się w domu.

Dziewczynki niezmiernie były ciekawe, czem się ich towarzysze tak tajemniczo zajmują, Basia nawet spytała o to Marcinka, ale ten udając że ucina sobie język, rzekł:

— Ciekawym to języki urzynają, wiesz o tem Basiu?

— A niegrzecznym to rogi przyprowadzają do głowy, odrzekła Basia i ukłoniwszy się z wielką powagą, dodała: dziękuję, bardzo dziękuję za objaśnienie.

Marcinek zawstydział się, ale po chwili rozśmiał się z przytomności Basi że się tak zgrabnie znalazła i rzekł:

— Moja Basiu, nie mogę ci powiedzieć, bośmy przyrzekli sobie tajemnicę jak największą, a przyrzeczenia należy przecie dotrzymać.

— To było odrazu tak odpowiedzieć, odrzekła Basia, a nie wyciągać język jak łopatę.

— To prawda, ale widzisz, powiedzieliśmy sobie, że kto wyda sekret, to mu język utniemy i dla tego on mi najprzód przyszedł do myśli.

— Więc powiedz mi, a przyrzekam ci, że nikomu słówka nawet nie pisnę.

— Basiu, nie prosz o to, bo byś sama pomyślała o mnie, żeś niezdara, kiedy nie umiem przyrzeczenia dotrzymać.

— Prawda, więc nie mów i nie gniewaj się żeś się pytała.

Działo się to w sobotę; w niedzielę nastąpiła zwykła przechadzka, gdy więc weszli na błonie jakże się zdziwiono, gdy zobaczyli na strudze deszczki zbite w pomości i przymocowane do ziemi, ścieżkę prowadzącą na kopiec wygracowaną, a na jego wierzchołku krzyż niewielki czterema lipkami otoczony, pod nim ławeczkę do odpoczynku a przed nią małą grzędę starannie usypaną z kilkoma doniczkami kwiatów na której mieścił się wytłoczony i piaskiem wysypany następujący napis:

Niespodzianka

od wdzięcznych uczniów dla Nauczyciela.

Tajemnica więc czynności chłopczyków wydała się; dziewczynki nie mogły się nachwalić pięknego urządzenia a Nauczyciel wszystkich koleją ucałował nazywając dobrimi dziećmi.

— Wszystko bardzo dobrze, odezwał się poteni. Pomyśleliście o chwale Bożej, o wygodzie dla podróżnych zwiedzających kopiec, pamiętaliście o mnie i o waszych towarzyszkach dziewczynkach, zawsze kłopotających się przy przejściu strumienia. Cieszę się więc bardzo z waszej roztropności i któż to pierwszy był do tego.

Marcinek najpierwszy o krzyżu przypomniał, a Michałek...

— Józio o pomoście przez strumień, przerwał drugi chłopczyk, a ja o kwiatkach.

— A ja doniczki wyprosiłem u Mamy....

— A ja o napisie pamiętałem....

— To nie ty, to Michałek....

— Nie, to Pawełek....

I chłopczyki zaczęli się sprzeczać, coraz głośniejsze, aż wreszcie zawołał Marcinek;

— Cicho chłopcy, ja powiem kto wymyślił tę niespodziankę.

— Dobrze, mów, bo ty najsprawiedliwszy.

— Powiedz więc Marcinku, odezwał się Nauczyciel.

— Oto wszyscy Nauczycielu, odrzekł Marcinek, nikt nie był pierwszym, wszyscy złożyliśmy się, bo wszyscy mieliśmy ochotę coś zdziałać takiego, coby pan Nauczyciel pochwalił.

— Prześlicznie osądziłeś sprawę, jak najlepszy sędzia. Zawsze bądź takim sprawiedliwym i nie pragnącym wynoszenia się nad drugich.

Marcinek pocałował Nauczyciela w rękę, chłopcy uściskali go serdecznie, nazywając sprawiedliwym sędzią, a dziewczynki wzięwszy się za ręce stanęły rzędem i Basia rzekła:

— A my wam dziękujemy pięknie za pomost na strumieniu.

Potem wszystkie dygnęły zgrabnie i klaszcząc w ręce wołały:

— Dziękujemy, dziękujemy!

O PEWNEJ PANIENCE.

Panienka o której mam wam opowiedzieć, miała zwyczaj, że przy każdym jedzeniu gdy już głód zaspokoła, a jeszcze zjadała coś takiego co bardzo lubiła, to pokarm ów przekładała między ząbkami, przechylała w tył głowę i tak usta otwierała, że widać było aż język z jednej na drugą przechylający się stronę.

Szczególniej zdarzało się to przy końcu obiadu, kiedy Rodzice i znajdujący się przy stole, zajęci rozmową nie mogli na dzieci dawać pilnego baczenia.

I działo się to dość długi czas, aż wreszcie spełniło się przysłowie: że dopóty dzban wodę nosi, dopóki mu się ucho nie urwie.

Wielka mucha zwana bącznicą wpadła w usta panienki za serem który się bielił między ząbkami, a że przylepiwszy się do niego nóżkami nie mogła się wydobyć, zabrzęczała z wielkim szumem czem dziewczynka tak się przestraszyła, że pragnąc nagle przeknąć ser niedobrze jeszcze pogryziony, zakrzuszyła się tak straszliwie, że myślano iż się udusi. Jak się Rodzice i wszyscy w domu poprzekali, to wam tego nie będę opisywać. Zadławić się tak nagle i w tak młodym wieku, to rzecz straszna i przerażająca, a mało do tego brakowało, bo panienka już cała zsiniała i traciła prawie przytomność. Na szczęście gdy wszyscy nie wiedzieli co robić, a Mama rzewnemi zalewając się łzami załamywała ręce, jeden z gości zaczął silnie w plecy uderzać panienkę, a Ociec wprowadził jej w gardło stoczek i tym sposobem przetknął ser w niem uwieszony. Odetchnęła biedaczka, po chwili przyszła zupełnie do siebie, ale przez cały tydzień bolało ją gardło od podrażnienia, a blisko miesiąc miała since na plecach od bębnienia pięścią po plecach których gość ów wcale nie załował, bo gdy idzie o życie tam żartować i delikacii się nie można.

Od tego zdarzenia nieszczęśliwego, panienka już z jedzeniem w buzi nie bawiła się, ust także nie otwierała, ale zjadłszy co zjeść miała, słuchała pilnie rozmowy starszych przy stole.

Raz jednak, kiedy już prawie zapomniano o całym wypadku, panienka owa jedząc konfitury, otworzyła buzię jak to kiedyś było jej zwyczajem, i poruszając w niej językiem, wisienkę oblepioną syropem przesuwała od jednej ku drugiej stronie.

— Co robisz? odezwała się Mama, czyś zapomniiała zadławienia?

Dziewczynka zarumieniła się, a brat starszy który lubił czasem pożartować, rzekł:

— Nie Mamo, to nie z zapomnienia tylko z zamiłowania muzyki.

— A to jakim sposobem? zapytano.

— Przecież lubi bębnienie po plecach, odrzekł brat z powagą, chciałaby więc powtórzenia pięściowego na nich trelu, który i jej i nam tyle zrobił przyjemności.

Rozśmiano się szczerze z tej uwagi, nawet trochę

jeszcze pożartowano, ale owa panienka miała, tyle rozważli, że się o to nietylko nie rozgniewała, ale odezwała się z wesołością do brata:

— A ty może chciałbyś być doboszem?

— Jakby nie mogło być inaczej, odrzekł brat, zaraz bym pięście zamienił na pałki i tak bębnił, że ażby iskry z pleców leciały.

— Dziękuję za obietnicę, odrzekła panienka, ale zaręczam ci braciszku że do spełnienia jej nie dam ci powodu.

— Niechże cię ucałuję siostrzyczko moja kochana, zawołał brat, tak to lubię, dowcip za dowcip!

Rodzice rozweseleni powstali od stołu, ucałowali swą córeczkę a Mama rzekła jej:

— Tylko nie zapomnij coś przyrzekła.

ALKA.

Jakkolwiek ptaki wszystkie głównie do lotu zdają się być usposobione, lecz i w tem zdarzają się dość liczne wyjątki, okazujące nam jak dalece natura w tworzeniu istot była niewyczerpaną i jak doskonale kształty zewnętrzne do potrzeb życia każdej istoty zastosować umiała. Widzimy zatem ptaki

pełnie niedołężny. Takimi są: *Nurzyki*, *Białowłosey*, *Maskonury*, *Alki*, *Bezlutki* i *Klinodzioby*. Wszystkie należą do Rzędu *Pteronogich*, i zamieszkują Północne i Południowe Morza, pływają i nurzają się wybornie i tak zręcznie jak jaskółki w powietrzu za owadami, tak one w wodzie za rybą się uganiają.

Na załączonej rycinie przedstawiony jest jeden z tych rodzajów, a mianowicie *Alka*. O nim więc nieco obszerniej pomówimy: Charakterystyczną cechą tego rodzaju jest dziób nożykowaty, prawie tak długi jak głowa, a poprzecznymi bruzdami głęboko wylobiony. Nogi zupełnie w tył ciała usunięte, bardzo krótkie, co nie daje im możności chodzenia, na lądzie muszą albo podskakiwać niezgrabnie, opierając się na krótkim ogonie, albo pełzać na brzuchu jak płazy; to też na ląd nie wychodzą tylko dla gnieźdzenia się, żyją zaś prawie ciągle na morskiej przestrzeni, często o kilkaset mil od lądu, ustawicznie nurzając się za zdobyczą miotają się jak strzały po spienionych falach. Alk jest dwa gatunki: *Alka Lotna* (*Alca torda*), mająca małe skrzydełka, za pomocą których po nad samą wodą unosić się może, tak że nawet dość dalekie wędrówki odbywa, dziób jej trzema poprzecznymi głębokimi bruzdami jest oznaczony, z tych średnia bruzda



Alka.

które w powietrzu pożywienia szukać muszą, łowiąc drobne szybko latające owady; lub te które ścigając zwierzynę, pożywienie swoje od bystrości lotu swego mają zależne; nareszcie i takie które szukając łagodniejszego klimatu, całe oceany zmuszone są przebywać, obdarzone potężnymi skrzydłami, unoszącymi je lekko przez powietrzne szlaki i mniej więcej długim ogonem, za ster im służącym. Widzimy znowu ptaki inne, po większej części na wodach morskich żyjące, w miejscach bezludnych gdzie ich nikt nie płoszy, i gdzie obfitość ryb i rozmaitych tworów morskich w każdej porze dostarcza im pożywienia, widzimy mówię, ptaki zupełnie skrzydeł pozbawione, lub mające je niezmiernie małymi, tak że lot ich jest prawie żaden, albo zu-

biła, wierzeh ciała i ogon czarny, spód biały, głowa cokolwiek kasztanowata. Mieszka na morzach północnych. Drugi gatunek jest *Alka Bezlutna* (*Alca impennis*). Skrzydła lotek żadnych nie mają, dziób czarny, na nim bruzdy poprzeczne białe, w liczbie 8 do 10, co szczególną fizyognomią temu ptakowi nadaje, ubarwienie jak gatunku poprzedzającego, z tą różnicą że głowa i szyja kasztanowato się mieni, wielkość gęsi. Mieszka na morzach lodowatych półkuli północnej i nigdy za szranki koła polarnego się nie odala. Pożywieniem ich są ryby, mięczaki i rozmaite żyjątka morskie. Mięso ich jest jadalne, lecz mocno tranem cuchnące.